



MAREK
KRAJEWSKI

widma
w mieście
Breslau



Marek Krajewski (ur. 1966)

najgłośniejszy dziś polski autor kryminałów.
Z wykształcenia filolog klasyczny.

W 1999 roku zadebiutował *Śmiercią w Breslau*,
pierwszą z serii powieści z Eberhardem
Mockiem, których akcja rozgrywa się
w dawnym Wrocławiu. Kolejne, *Koniec świata
w Breslau* (W.A.B. 2003), *Widma w mieście
Breslau* (W.A.B. 2005) i *Festung Breslau*
(W.A.B. 2006), spotkały się z doskonałym
przyjęciem czytelników i krytyki.

Marek Krajewski jest laureatem Paszportu
„Polityki” za rok 2005, Nagrody Księgarzy
„Witryna” za najlepszą książkę roku 2005
oraz Nagrody Wielkiego Kalibru za najlepszą
powieść kryminalną roku 2003.

Poszczególne części cyklu są tłumaczone
na 12 języków, w tym angielski, hiszpański,
niemiecki, francuski, włoski i hebrajski.

W przygotowaniu film fabularny oraz serial
telewizyjny o przygodach Eberharda Mocka
w reżyserii Patryka Vegi. W 2007 roku
nakładem W.A.B. ukaże się nowa powieść
Krajewskiego.



w serii ukazały się:

Martha Grimes *Hotel Paradise*

Martha Grimes *Stacja Cold Flat Junction*

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Jean-Claude Izzo *Szurmo*

Jean-Claude Izzo *Solea*

Tomasz Konatkowski *Przystanek Śmierć*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Marek Krajewski *Festung Breslau*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Psy z Rygi*

Henning Mankell *Biała lwica*

Henning Mankell *Mężczyzna, który się uśmiechał*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *O krok*

Aleksandra Marinina *Kolacja z zabójcą*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Złowroga pętla*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Zygmunt Miłoszewski *Uwikłanie*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

MRO CZY NA
SERIA



MAREK

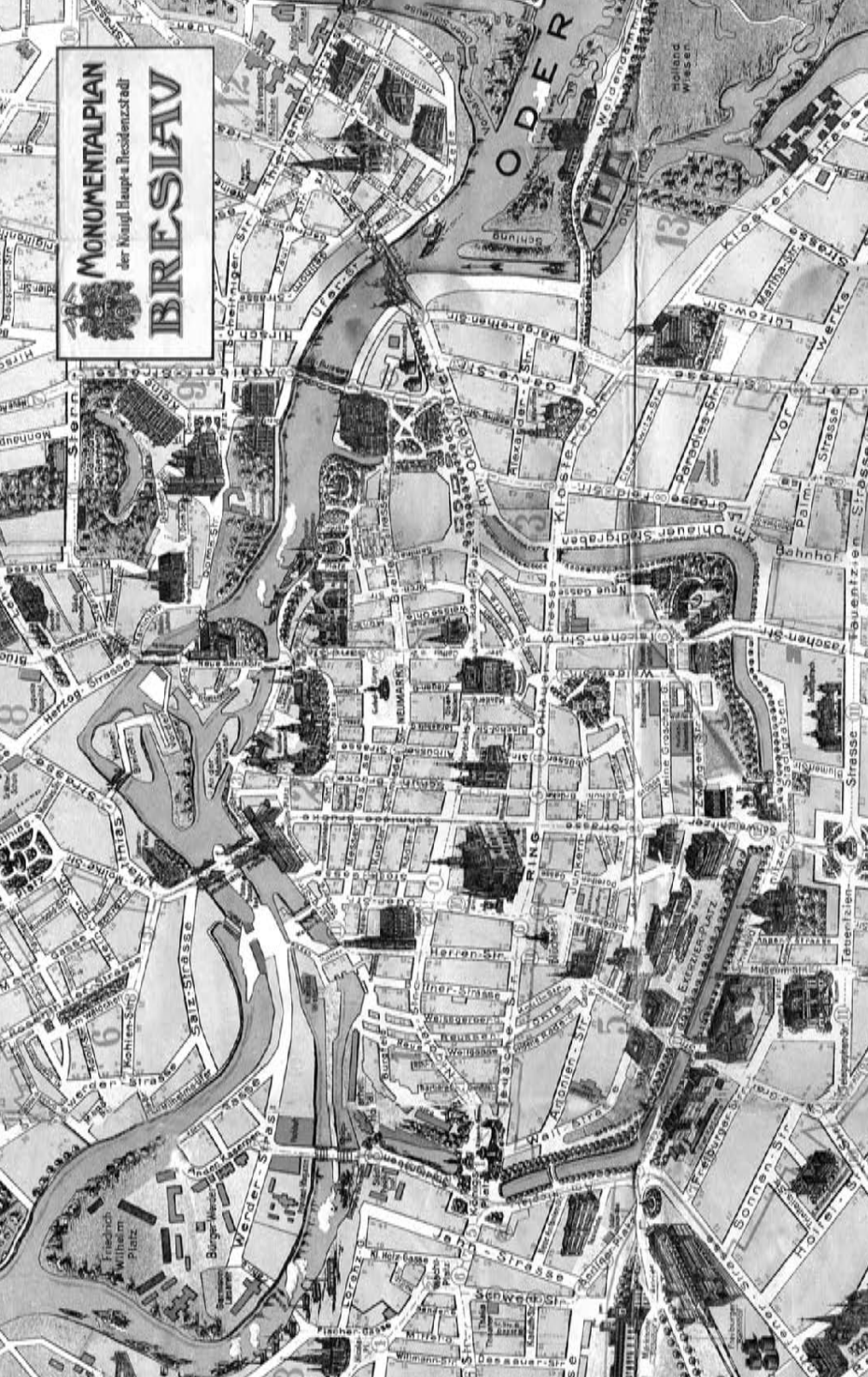
KRAJEWSKI

widma
w mieście
Breslau

MONUMENTALPLAN

der Stadt Haupt- u. Residenzstadt

BRESLAW



*Wrocław, środa 2 października 1919 roku,
kwadrans na dziewiątą rano*

Komisarz kryminalny Heinrich Mühlhaus wchodził powoli po schodach na drugie piętro budynku Prezydium Policji przy Schuhbrücke 49*. Kiedy stawiał stopę na kolejnym schodku, napierał na niego całym ciężarem swego ciała, by sprawdzić, czy osiemnastowieczny piaskowiec schodów nie pęknie pod obcasem jego błyszczącego trzewika. Chętnie rozkruszyłby stary kamień, naśmiecił pyłem dokoła, a potem zszedł na dół i zwrócił uwagę woźnemu na nieporządek. Opóźniłby w ten sposób wejście do swojego gabinetu: nie ujrzałby zbolącej miny sekretarza von Gallasena, nie zobaczyłby wypełnionego ważnymi terminami kalendarza ściennego z widokiem niedawno wzniesionego gmachu Technische Hochschule ani oprawionego zdjęcia swojego syna Jakoba Mühlhause z uroczystości confirmacyjnej, ale nade wszystko nie doświadczyłby kłopotliwej i niemilej mu obecności medyka sekcyjnego, doktora Siegfrieda Lasariususa, którego zaanonsował mu przed chwilą policyjny goniec. To właśnie ta wiadomość zepsuła komisarzowi humor. Nie lubił Lasariususa,

* Indeks nazw topograficznych zamieszczono na s 292.

który uważał zmarłych za najlepszych partnerów do rozmowy. Ci też go cenili, choć nie śmiali się z jego dowcipów, leżąc w betonowych rynnach Instytutu Lekarsko-Sądowego i pławiąc się w lodowatym strumieniu wody z podrygującego gumowego szlauchu. Każda wizyta Lasariusza zwiastowała w najlepszym razie trudne pytania, w najgorszym – poważne kłopoty. Tylko ciekawy problem poznawczy lub jakieś niebezpieczeństwo sprawiało, że Charon opuszczał swe dzierżawy. Komisarz chciał wierzyć w tę pierwszą przyczynę. Rozejrzył się dokoła. Nic nie dawało mu pretekstu do opóźnienia spotkania z małomównym medykiem. Jeszcze raz przycisnął stopień nogą. Lekko zatrzęszczała polakierowana skóra butów, odbijająca metalowe liście wijące się wokół prętów poręczy i piramidalne wzniesienie schodów. Z dziedzińca doszedł jakiś stukot i głośne przekleństwa. Mühlhaus spojrzął ponad zaniedbaną paprotkę, której fatalny stan zauważała każda kobieta wchodząca do tego męskiego świata. On sam, choć nie był kobietą, zarejestrował skrzyknięte gałązki proszące o wodę i z rozgniewaną miną odwrócił się i zbiegł po schodach w stronę dyżurki. Nie doszedł jednak do niej.

- Panie komisarzu! - usłyszał z góry tubalny głos Lasariusza. Przystanął i ujrzał ciemny wachlarz kapelusza i wilgotne ornamenty rzadkich loków na czaszce. Lasariusz schodził majestatycznie. - Nie mogłem się pana doczekać.

- Jest dopiero za pięć dziesiątą. - Mühlhaus wyjął srebrną kopertę z kieszeni kamizelki. - Nie może pan poczekać, doktorze, kilku sekund? Tak pilna jest pańska sprawa, że będziemy ją omawiać na schodach?

- Niczego nie będziemy omawiać - Lasariusz otworzył skórzaną aktówkę i podał Mühlhausowi dwie kartki z nagłówkami „Raport z sekcji zwłok”, po czym zapatrzył się na dziedzińiec, gdzie woźny i furman dzwonili kankami z nąftą. - Nie będziemy w ogóle nic mówić. Ani słowa. Nikomu.

- A zwłaszcza Mockowi - uzupełnił Mühlhaus po szybkim przeczytaniu raportu. Obserwował wąsatego furmana, który podawał woźnemu kanki i był tak nadęty, że mało brakowało, a po dziedzińcu zaczęłyby strzelać guziki z jego kamizelki. - Doktorze Lasarius, czy pańscy zimni pacjenci nie mają nazwisk? Dlaczego ci dwoje są anonimowi? Ja wiem, że pan nie zna tych nazwisk. W takim razie trzeba je nadać. Nawet bydłeta przebywające z ludźmi mają swoje imiona.

- U mnie, panie komisarzu Mühlhaus - mruknął medyk - nie ma różnicy pomiędzy bydłętami a ludźmi, chyba że chodzi o rozmiary serca lub wątroby. A w pana profesji jak jest?

- Nazwiemy ich... - policjant pominął milczeniem pytanie i spojrzął na furgon z naftą, na którym widniał napis: „Artykuły oświetleniowe Salomon Beyer” - ...nazwiemy ich Alfred Salomon i Catarina Beyer.

- Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego - powiedział Lasarius, oparł aktówkę o poręcz, wpisał nazwiska w odpowiednie rubryki i uczynił nad kartkami znak krzyża.

- Nikomu... zwłaszcza Mockowi - powtórzył zamyślony Mühlhaus i podał medykowi rękę. - W moim zawodzie też nie ma różnicy pomiędzy ludźmi i zwierzętami. Ale bez nazwisk trudno prowadzi się kartotekę.

*Wrocław, środa 2 października 1919 roku,
godzina dziewiąta rano*

Asystent kryminalny Eberhard Mock wyszedł chwiejnym krokiem z trafiki Afferta znajdującej się w ciemnej bramie na północnej pierzei Rynku. Październikowe słońce poraziło zamglone tęczęwki jego oczu, na które nasuwały się

co chwila opuchnięte powieki. Ślaniając się na nogach, oparł się o bramę wejściową do Ring-Theater i nałożył na nos okulary o jaskrawożółtych szklach. Wszystko dokoła oblewała jasna poświata potęgowana dziełem jenajskich optyków, jakim były silnie rozjaśniające binokle. Pomiedzy szkła a pocięte czerwonymi żyłkami białka oczu dostał się gryzący dym papierosowy. Mock prawie stracił oddech. Wypuścił dym i odruchowo przysłonił palcami oczy. Syknął z bólu – powieki były kłębowiskiem neuronowych zakończeń, a pod wilgotną skórą przesuwały się twarde grudki. Trzymając się jedną ręką ściany, ruszył prawie po omacku. Skręcił w Schmiedebrücke. Pod dłonią przesuwały mu się oszklone witryny sklepu Proskauera z męską konfekcją, w oczy kłuły go blaski wysyłane przez złote zegarki rozłożone za szybą sklepu Kühnela, ocierał się o chropowate ściany budynku zajmowanego przez „Deutsche Seefischhandels-Aktiengesellschaft”, aż w końcu przeszedł przez Nadlerstrasse i natrafił na oszklone drzwi kawiarni Heymanna.

Wtoczył się do środka lokalu, który o tej porze był jeszcze pusty i cichy. Po głównej sali kręcił się chłopak w białym sztywnym fartuchu i ustawiał piramidy ze stołów i krzeseł, przeplatając tę czynność zręcznymi pociągnięciami wilgotnej szmaty, która zbierała kurz i papierosowy popiół pokrywające blaty stołów i płachty serwet. Widząc Mocka, który potknął się i poleciał wprost na kruchą piramidę sprzętów, chłopak odruchowo zamachnął się szmatą i przeciągnął nią po twarzy porannego gościa. Jaskrawożółte binokle zatańczyły na łańcuszku, Mock utracił punkt ciężkości, a stoły i krzesła – swe oparcie. Chłopak patrzył przerażony, jak dobrze zbudowany brunet ląduje na sterzących nogach i wygiętych oparciach krzeseł, łamiąc je z przeraźliwym traskiem, a na jego głowę zsuwają się wykrochmalone serwety. W porannym paździenikowym

słońcu zamigotały drobiny kurzu. Otwarta solniczka wpadła pomiędzy gęste włosy Mocka i z lekkim szmerem sypnęła po policzkach strużką soli. Asystent kryminalny w obronnym odruchu zamknął oczy i wtedy poczuł narastające pieczenie. Cieszyło go to, ponieważ wiedział, że ból nie pozwoli mu usnąć, że podziała lepiej niż sześć filiżanek mocnej kawy, które od godziny piątej nad ranem zdążył już wypić. W żyłach Mocka – wbrew przypuszczeniom pomocnika restauracyjnego – nie płynął ani miligram alkoholu. Mock nie spał od czterech dni. Mock robił wszystko, aby nie spać.

*Wrocław, środa 2 października 1919 roku,
godzina dziewięta piętnaście rano*

Mimo iż kawiarnia Heymanna nie była jeszcze czynna, siedzieli tam dwaj mężczyźni i podnosili do ust dymiące filiżanki z czarną kawą. Jeden z nich wypalał papierosa za papierosem, drugi – ściskając zębami kościany ustnik fajki – w gęstwinie swej brody wypuszczał kącikami ust małe strużki dymu. Pomocnik restauracyjny robił wszystko, aby czarnowłosy mężczyzna – jak się okazało policjant – puścił w niepamięć niedawne zajście. Posprzątał rumowisko połamanych mebli, podał kawę, mleko, sprowadził na koszt firmy znane friedrichhofske sucharki z niedalekiej cukierni „S. Brunies”, wkręcał dla bruneta papierosy w małą cygarniczkę w kształcie fajki i przysłuchiwał się uważnie rozmowie, aby móc w lot zgadywać pragnienia człowieka, którego tak srogo sponiewierał. W pewnym momencie ofiara jego porządków wyjęła z wewnętrznej kieszeni marynarki kilka złożonych kartek papieru i wręczyła je brodaczkowi. Ten czytał, wypuszczając z fajki krótkie grzybki dymu. Jego towarzysz podstawił sobie pod nos małą ampułkę. Nad

stołem rozeszła się ostra woń moczu. Chłopak uciekł ze wstrętem za bar. Brodaty mężczyzna czytał uważnie, a rysy jego twarzy i fałdy skóry układały się w znak zapytania.

- Mock, dlaczego pan napisał to absurdalne oświadczenie dla prasy? I dlaczego mi je pan pokazuje?

- Panie komisarzu. Jestem - Mock długo zastanawiał się nad kolejnym słowem, jakby mówił w słabo znanym sobie języku - lojalnym podwładnym. Wiem, że jeśli... jeśli jakaś gazeta to wydrukuje, to będę skreślony. Tak. Skreślony. Zwolniony z policji. Bez pracy. Dlatego mówię panu o tym.

- I co? - W smudze słonecznego światła przecinającego kłęby dymu wyraźnie było widać drobinki śliny osiadające na brodzie Mühlhausa. - Chce pan, żebym pana uratował przed zwolnieniem z pracy?

- Sam nie wiem, czego chcę - szepnęła Mock, bojąc się, że za chwilę zamknie oczy i przeniesie się do krainy dzieciństwa: w pokryte suchymi liśćmi, nagrzane jesiennym słońcem Góry Stołowe, dokąd jeździł na wycieczki ze swoim ojcem. - Jestem jak żołnierz. O swojej dymisji informuję dowódcę.

- Jest pan jednym z ludzi - zbulgotało w cybuchu Mühlhausa - z którymi chcę zbudować nową komisję morderstw. Bez idiotów, którzy zdeptują ślady na miejscu zbrodni, a jedynym ich atutem jest wzorowa służba wojskowa. Bez byłych szpicli, którzy mogą działać na dwa fronty. Nie chcę pana stracić przez pańskie niedorzeczne oświadczenie, które wystawi na pośmiewisko całe Prezydium Policji. Powstrzymuje się pan od snu już kilka dni. Jeśli pan zwariował, na co wskazuje i to oświadczenie, i pana zachowanie, to i tak nie będę miał z pana żadnego pożytku. Dlatego musi mi pan wszystko opowiedzieć. Jeśli będzie pan milczał, uznaję pana za wariata i wychodzę, jeśli będzie pan opowiadał jakieś brednie - również wychodzę.

- Panie komisarzu - Mock postawił na stoliku ampułkę z solami trzeźwiącymi - gdy będę zasypiał, proszę podstawić mi ją pod nos. Cieszę się, że nie działa na pana smród amoniaku. Hej, ty - zwrócił się do chłopaka. - O której otwieracie tę budę? Wystarczy nam czasu, panie komisarzu - kontynuował, usłyszawszy odpowiedź. - A ciebie już tu nie widzę. Przyjdiesz przed samym otwarciem.

Chłopak z radością uwolnił swoje nozdrza od przykrych zapachów i wybiegł z lokalu. Mock oparł łokcie na stole, założył rozjaśniające okulary i wystawił twarz na światło słoneczne padające przez koronkowe zasłonki w witrynie. Potarł oczy i syknął z bólu, uderzył się po nich otwartą dłonią. Pod powiekami wybuchły fajerwerki, w kącikach oczu zakłuło, papieros dopalał się w popielniczce.

- Teraz jest dobrze - Mock oddychał przez chwilę. - Teraz nie zasnę. Teraz mogę panu opowiedzieć. Jak pan się domyśla, to wszystko jest związane z naszą sprawą, ze „sprawą czterech marynarzy”...

*Wrocław, poniedziałek 1 września 1919 roku,
godzina wpół do ósmej rano*

Mock otworzył ciężkie dwuskrzydłowe drzwi i znalazł się w niemal zupełnie ciemnym przedpokoju wykładanym kamiennymi płytkami. Ruszył powoli, nie starając się nawet stłumić dzwonięcia ostróg u swych butów. Nagle natrafił na aksamitną kotarę. Odsunął ją i wszedł do kolejnego przedpokoju. Była to poczekalnia, z której wychodziły drzwi do kilku pokoi. Jeden z nich był otwarty, lecz u nasady futryny wisiała podobna kotara, która przed chwilą powstrzymała Mocka. Na jednej ze ścian poczekalni nie było drzwi, lecz okno. Wychodziło ono, jak Mock się domyślił, do studni wentylacyjnej. Na parapecie, na zewnątrz,

stała lampa naftowa, której słabe światło ledwie się przebi-
jało przez zakurzoną szybę. W tej wątej poświacie Mock
dostrzegł kilka osób siedzących w poczekalni. Nie zdążył
się jednak im przypatrzeć, ponieważ jego uwagę przykuła
kotara wisząca w drzwiach pokoju. Poruszyła się gwałtownie
i spoza niej dobiegło westchnienie. Mock ruszył w jej
kierunku, lecz na drodze stanął mu wysoki mężczyzna
w cylindrze. Kiedy Mock usiłował go odsunąć, mężczyzna
zdział nakrycie głowy. W bladej poświacie widać było
wyraźnie węzły blizn, na których załamywało się światło.
Krzyżowały się one i przeplatały – zamiast oczu miał płą-
taninę blizn.

Mock spojrział na ich grube linie, na ciemne zacieki,
które widniały na ścianie nad jego łóżkiem. Przetarł oczy
i odwrócił się od ściany. Zasłona oddzielająca jego sypialną
niszę obramowana była słonecznym blaskiem.

Zza zasłony dochodziła krzątanina ojca. Stukały kubki,
szczękały fajerki, trzaskał ogień, chrupał chleb pod cięża-
rem noża. Mock sięgnął po metalowy dzbanek stojący obok
łóżka i usiadł, aby nie rozlać wody podczas picia. Przechy-
lił dzbanek i woda wlała się w wyschniętą jamę ustną wy-
pełnioną szorstkim językiem. Płynęła szerokim strumie-
niem, aż zwilgotniała koszula nocna zawiązana pod szyją
sztywnymi od krochmalu trokami. Zardzewiałe żabki za-
skrzypiały na metalowej szynie, zasłona rozdzieliła się
i wpuściła w duszne wnętrze niszy jasny słup światła.

- Wyglądasz jak siedem plag egipskich. - Niewysoki,
krępy mężczyzna trzymał w sękatach palcach poobijany
kubek.

Rysy twarzy, w które wdarły się opary gotujących się
klejów do obuwia, brązowe wątrobiane przebarwienia skó-
ry i surowe siwe oczy czyniły z Willibalda Mocka postrach
okolicznej dzieciarni. Eberhard Mock nie bał się swojego
ojca, już dawno przestał być dzieckiem. Miał lat trzydzieści

sześć, kawałek metalu w udzie, reumatyzm, złe wspomnienia, słabość do alkoholu i rudowłosych kobiet. Teraz zaś nade wszystko miał kaca. Odstawił pod łóżko dzbanek z wodą, minął ojca i wszedł do zalanego słońcem pokoju, który był jednocześnie kuchnią i sypialnią Willibalda. Kiedyś nieżyjący od kilku miesięcy stryj Eduard rozbierał tutaj wołowe tusze, rozbijał miękkie placki schabu oraz ugniatał oblepiające palce bryły wątróbki. To w tym miejscu napychał nadzieniem flaki, pachnące dymem karkonoskich ognisk, a potem wieszał pierścienie kielbas nad kuchnią, nad którą teraz jego brat, Willibald, podgrzewał mleko dla skacowanego syna.

- Nie pij tyle. - Ojciec wyszedł z niszy. Jego siwy wąs jeżył się nad wąskimi wargami. - Ja nigdy nie zaniedbywałem pracy. Zawsze o tej samej porze zasiadałem nad butami. Stukanie w warsztacie było jak kukułka zegara.

- Nigdy ojcu nie dorównam - powiedział Mock odrobinię za głośno, podszedł do miednicy stojącej pod oknem i ochlapał twarz wodą. Potem otworzył okno, na gwoździu zawiesił pas do ostrzenia brzytwy. - Poza tym dzisiaj zaczynam służbę później.

- Co to za służba. - Willibald mocował się z buteleczkami lekarstw. - Spisujesz dziwki i alfonsów. Powinieneś chodzić po dzielnicy i pomagać ludziom.

- Daj spokój, stary dziadu - powiedział Mock, naostrzył brzytwę i pocierał mydłem o gęste włosie pędzla. - Ty za to wdychałeś smród cudzych gir.

- Co powiedziałeś? - Ojciec wbijał jajka na żeliwną patelnię. - Co powiedziałeś? Specjalnie tak cicho mówisz, bo jestem głuchy.

- Nic, to do siebie. - Mock ściągał brzytwą pianę z policzków.

Ojciec usiadł przy stole i ciężko oddychał. Postawił patelnię z żółtą masą na desce do krojenia chleba, z której

starannie zebrał okruszki. Potem ułożył kromki posmarowane smalcem jedna na drugiej. Powstał prostokątny stósik. Ojciec wyrównał jeszcze jego boki, tak aby żadna kromka nie wystawała poza krawędź. Eberhard wytarł pianę z twarzy, posmarował policzki i podbródek laską ałunu, założył podkoszulek i usiadł przy stole.

- Jak można tak chlać? - Ojciec ucinał nożyczkami łodygi cebuli rosnącej w doniczce i posypywał jajecznicę. Potem rozdzielił już złożone pajdy i sypnął między nie odrobinę szczypiorku. Następnie złożył je i owinał w zatłuszczony pergamin. - Ja nigdy się tak nie schlałem. A ty prawie codziennie. Pamiętaj, przynieś ten papier z powrotem. Jutro znów zapakuję ci w niego jedzenie.

Mock zjadł ze smakiem półpłynną masę jajeczną ozdobioną szczecinią szczypiorku, potem wstał, wsunął patelnię do wypełnionej wodą balii stojącej koło miednicy, włożył koszulę, przypiął do niej kwadratowy kołnierzyk i zawiązał krawat. Na głowę nasadził melonik, poszedł w róg pokoju i otworzył klapę w podłodze. Zszedł po stopniach do dawnego sklepu rzeźniczego. Zatrzymał się i spojrzął na rząd haków, na których wisały niegdyś wieprzowe półtusze, na wypucowaną ładę, na lśniącą witrynę i na kamienne płytki pochylone nieco ku odpływowi przykrytemu żelazną kratką. To w tę kratkę stryj Eduard wlewał ciepłą zwierzęcą krew.

Na górze dał się słyszeć świst oddechu ojca i jego gwałtowny kaszel. Mock poczuł zapach kawy wlewanej do termosu. Para z kawy zapała na chwilę oddech ojcu - pomyślał - a właściwie to, co z niego zostało po wyziewach kleju ze zwierzęcych kości. Wyszedł na zewnątrz, dzwoniąc mosiężnym dzwonkiem umocowanym na futrynie.

Willibald Mock obserwował syna przez okno. Ten wyszedł tylnym wyjściem na podwórko. Ukłonił się dozorczyńni, pani Bauert, uchwycił przyjazny uśmiech stojącej przy

pompie służącej pastora Gerdsa, który zajmował czteropokojowe frontowe mieszkanie, prychnął na bezpieczeństwa kota, przyspieszył kroku, przeskoczył kałużę i rozpinając spodnie oraz klnąc na nadmiar guzików, sforsował zardzewiałą klódkę i wszedł do niewielkiego pomieszczenia w kącie podwórka.

Ojciec zamknął okno i wrócił do swych czynności. Umył patelnię, talerz oraz rondel po mleku i wytarł ceratę przypiętą pineskami do stołu. Potem zażył lekarstwa i siedział przez chwilę w milczeniu na starym bujanym fotelu. Wszedł do niszy Eberharda i przyjrzał się skołtunionej pościeli. Schylił się, aby ją złożyć, i wtedy jego stopa natrafiła na dzbanek z resztką wody. Dzbanek przewrócił się, a woda wylała się do jednego z jego skórzanych kapci.

- Do stu piorunów! - wrzasnął i wierzgnął nogą, a kapeć poleciał wprost w twarz zamykającego kłapę w podłodze Eberharda. Ojciec padł na łóżko syna i gwałtownie odpinał troczki przytrzymujące skarpetkę. Zdjął ją i powąchał.

- Niech się ojciec nie denerwuje - uśmiechnął się Eberhard. - Nie używam już nocnika i nie chowam go pod łóżkiem. To była tylko woda.

- No dobrze, dobrze... - mruzczał ojciec, zakładając z trudem skarpetkę. Wciąż siedział na łóżku syna. - Po co ci woda pod łóżkiem? Ja wiem po co. Jak się schlejesz, to masz ją na kaca. Ciągle chlejesz i chlejesz... Ożeniłbyś się, tobys przestał chlać...

- Czy ojciec wie - syn podał ojcu kapeć, usiadł przy stole i wysypał kilka szczypt jasnego tytoniu na ceratę - że wódka mi pomaga?

- W czym? - spytał zdumiony przyjaznym tonem głosu Eberharda. Zwykle wyrzuty dotyczące alkoholu i starokawalerstwa wprawiały syna w złość.

- W przespaniu nocy. - Eberhard zapalił papierosa i układał na stole przedmioty, które zaraz miały się znaleźć

w jego aktówce: termos, kanapki ze smalcem, woreczek z tytoniem i ceratową teczkę z raportami. – Przecież tyle razy mówiłem ojcu, że kiedy idę spać trzeźwy, mam koszmarne sny, a potem się budzę i już nie mogę zasnąć! Wolę mieć kaca niż koszmary.

– Wiesz, co jest najlepsze na sen? – Ojciec odruchowo zaczął ścielić łóżko syna. – Rumianek i ciepłe mleko. – Wyglądził prześcieradło i nagle spojrział uważnie na swojego rozmówcę. – Zawsze po trzeźwemu masz koszmary?

– Nie zawsze – uśmiechnął się Eberhard, zapinając teczkę na stalowe zatrzaski. – Czasami śni mi się pielęgniarka z Królewca. Ruda i bardzo ładna.

– Byłeś w Królewcu? Nigdy mi o tym nie mówiłeś. – Ojciec przytrzymał marynarkę, a syn wsunął w jej rękawy swe masywne ramiona.

– Byłem podczas wojny. – Eberhard powachlował się melonikiem i sięgnął po zegarek. – Nie ma o czym mówić. Do widzenia ojcu.

Ruszył w stronę kłapy w podłodze. Za sobą słyszał mruczenie starego: – Nie chlałby tyle. Tylko rumianek i ciepłe mleko. Rumianek i ciepłe mleko.

W królewskim szpitalu Miłosierdzia Bożego połamany, jednoroczny podchorąży Mock dostawał rumianek przed snem. Piękna rudowłosa pielęgniarka patrzyła z podziwem na stojące obok jego łóżka wypastowane buty z ostrogami. Tytułowała go „panem oficerem”, nie zdając sobie sprawy, że każdy zwiadowca z pułku artyleryjskiego nosił ostrogi, ponieważ jeździł konno. Nazywając go w ten sposób, wlewała w jego usta łyżeczki naparu. Dwukrotnie ranny podchorąży Mock nie miał sił zaprzeczyć, że nie jest oficerem, wstydził się wyznać, że nie zdał egzaminu i nie odbył stosownych ćwiczeń, a na wojnie znalazł się ze zwykłego poboru. Wstydził się też zapytać, jak ma na imię jego anielica. Nie miał siły przekreślić głowy, by odprowadzić ją

wzrokiem. Chcąc poszerzyć swój ką t widzenia, zakreślał oczami gorejące koła. Obejmowały one – niestety – jedynie neogotyckie sklepienie królewieckiego szpitala. Nie docierały ani do leżących obok żołnierzy, ani do Corneliusa Rührtgarda, szpakowatego, szczupłego sanitariusza, któremu podchorąży Mock zawdzięczał życie. W zasięgu wzroku rannego Mocka rudowłosa pielęgniar ka nie znalazła się nigdy więcej. Znacznie później, kiedy już się zrosły jego połamane kończyny, kiedy mógł się poruszać o kulach, kiedy w końcu się dowiedział, że jego rany wskazywały wyraźnie, że musiał upaść z dużej wysokości i że sanitariusz Rührtgard, który onegdaj był lekarzem w Kamerunie, idąc do pracy, znalazł go, porzuconego na Wale Litewskim, szybko przetransportował do szpitala i opatrzył klatkę piersiową oraz płuca zranione odłamkami żeber, kiedy podchorąży Mock już o tym wszystkim się dowiedział, ruszył na poszukiwanie rudowłosej pielęgniar ki. Kuśtykając, stukał kulami po płytkach piaskowca i wszędzie spotykał się z brakiem zrozumienia. Pielęgniarki niecierpliwiły się, kiedy połamany rekonwalescent sporządzał kolejny rysopis ich rzekomej rudowłosej koleżanki, zaglądał im po raz setny w oczy i starał się uchwycić zapach ich ciała. Woźni i salowi kręcili głowami, niektórzy pukali się w czoło, kiedy mówił o parujących filiżankach rumianku, aż w końcu były doktor Rührtgard zdegradowany do stopnia sanitariusza uświadomił pacjentowi, że rudowłosa pielęgniar ka może być wytworem jego fantazji. Zwłaszcza że halucynacje nie są obce ludziom będącym w takim właśnie stanie, w jakim do szpitala Miłosierdzia Bożego w Królewcu trafił podchorąży Mock. Był bowiem zupełnie nieprzytomny. Nie od upadku z dużej wysokości. Od alkoholu.

Eberhard Mock schodził do byłego sklepu rzeźniczego swojego stryja Eduarda.

- Rumianek i ciepło mleko. Chleje, no to ma za swoje - dochodził z góry głos ojca, który znał remedium na wszelkie synowskie dolegliwości.

Eberhard usłyszał mocne stukanie o parapet okna w izbie na górze. To pewnie ten kretyn Dosche ze swoim parazywym psem - pomyślał - ten kundel znowu nasra na wypucowane schody, a Dosche i mój ojciec będą grali cały dzień w szachy.

Jajecznicza ze szczypiorkiem dławiała go jak włos przylepiony do gardła. „Rumianek i ciepłe mleko. Chleje i chleje”. Mock odwrócił się na schodach i ruszył w górę. Jego głowa wychyliła się nad poziom podłogi. Parapet zabrzęczał gwałtownie. Ojciec stał przy oknie i skakał na jednej nodze, na drugiej wisiała pocerowana skarpetka.

- Czy ojciec nie rozumie - wrzasnął Eberhard - że rumianek i mleko gównem mi pomogą?! Ja nie mam kłopotów z zasypianiem, tylko ze snami!

Willibald patrzył na syna, niczego nie rozumiejąc. Tułów znalazł się nad powierzchnią podłogi. Zaciśnięte pięści. Kac szumiący w głowie jak morze. Rumianek i ciepłe mleko. Ojciec zbladł. Nie wypowiedział ani słowa.

- I niech ojciec powie temu zasranemu szachiście Doschemu, żeby nie przychodził tu ze swoim kundlem i nie walił tak mocno w parapet, bo pożałuje. - Nogi Eberharda znalazły się w izbie.

Nie patrząc na ojca, podszedł do miednicy, ukląkł przed nią, zdjął melonik i wylał na swoje falujące włosy kilka chochli wody. Przez szum w uszach zatkanych spływającymi strużkami słyszał głos ojca:

- To nie Dosche wali drągiem w parapet, to ktoś do ciebie.

Eberhard pochylił się przy starym i wsunął mu skarpetkę na stopę.